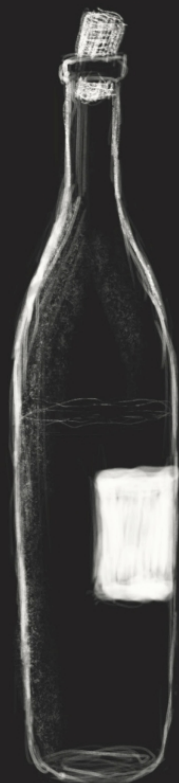


Jeremi Bożkowski

ESTYMATOR 



Donos - na - życie



Jeremi Bożkowski

DONOS NA ŻYCIE

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2021

ISBN: 978-83-67021-17-3

Copyright (C) Antoni Więcko i Karolina Szafert

Tekst: Czytelnik, Warszawa 1976

Projekt okładki: Olga Bołdok

Jeremi Bożkowski to pseudonim literacki Bożeny Ciecierskiej-Więcko (1935–1986).

SPIS UTWORÓW

[Nota o autorze](#)

[WOJNA NA MIARĘ](#)

[JEDNA ŚMIERĆ](#)

[MIEDZIN](#)

[MÓJ POGRZEB](#)

[PIERWSZA KRYMINALNA](#)

[ŚWIĘTY JÓZEF](#)

[KĄPIEL WACIA](#)

[INŻYNIER PÓŁŚRODEK](#)

[WYWCZASY W LEŚNICZÓWCE](#)

[WŁADCA DUSZ](#)

Nota o autorze ze skrzydełka obwoluty

Jeremi Bożkowski ukończył studia filologiczne na Uniwersytecie Warszawskim. Obecnie pracuje jako dziennikarz w jednym z pism stołecznych. Przed ukończeniem studiów pracował jako nauczyciel w szkole podstawowej, jako pracownik fizyczny w budowlanym przedsiębiorstwie powiatowym, instruktor Domu Kultury, organizator widowni w teatrze amatorskim, w którym pełnił również rolę asystenta reżysera i występował jako aktor. Doświadczenia zdobyte w trakcie wykonywania tak różnorodnych zajęć znalazły swoje odbicie w opowiadaniach Jeremiego Bożkowskiego, z których część była drukowana w prasie.

WOJNA NA MIARĘ

To była moja wojna i niczyja więcej. Dlatego była taka, jaka była. Nieduża, kolorowa, w sam raz na moją miarę.

Wiem, że to niestosowne, ale nie straciłem rodziców ani najbliższej rodziny. Padło mi trochę dalekich pociotków, jednego wuja nawet Niemcy spalili żywcem, ale ten fakt sensacyjny przerastał moją nieporadną wówczas wyobraźnię i dramat narodu nie stał się przez to bardziej moim. Nie byłem w obozie, nie spalono mi domu. Nie zaznałem głodu, bo zawsze były kartofle i lebioda. Strach znałem. Istniał obok, urodził się pewno razem ze mną, przywykł do mnie, a ja do niego. Spotkałem go w schronie.

Istniałem wtedy wyłącznie jako gęba. Do wrzasku i jedzenia. Był miałem nędzny, świadomość żadną. Niemcy zdobywali Warszawę. Mój schron płakał, modlił się i zawodził. Miał głosy cienkie. Kobięce i dziecinne. Jeżeli czasem odezwał się męskim, tamte milkły. Grubym głosem schron klął albo coś ogłaszał. A potem znów trzeba było się drzeć. Bo w schronie kto nie ryczał, ten nie istniał.

Kiedy zjedliśmy ostatni suchar, babka przyniosła nogę. Muskularną kosmatą nogę karego konia. Z podkową i kopytem, urwaną tuż nad kolanem. Postawiła ją w kącie i powiedziała, że to będzie na rosół. Budziłem się w nocy, bo ona szła do drzwi. Chciała szukać swego konia, ale wszystkie spłynęły już Wisłą do morza. Głaskałem ją, choć była lepka od krwi. We śnie biegły konie stunogie. Rano stała spokojnie.

W południe zawyli na alarm i bomba ścięła nam kuchnię razem z nogą. Zrywałem się znowu nocą, bo ona krzyczała pod gruzami. Stukała kopytem o kamień. Kiedy otwierałem oczy, nade mną szarzał prostokąt okna, jaśniejszy niż reszta ciemności.

Pewnego razu ocknąłem się w mroku jednostajnym, pełnym pacierzy i lamentów. Płakały i modliły się dusze umarłych koni pozbawione swoich nóg. Podobno dostałem konwulsji.

Kiedy wyniesiono mnie ze schronu, po raz pierwszy usłyszałem swój wrzask. Był donośny i wspaniały. A tamci zrywali sobie płuca w chóralnym lamencie i nie mieli żadnej satysfakcji. Zrozumiałem, że więcej do nich nie wrócę. Konwulsje były łatwe do udania, od beku na jednym tonie dostawało się sonej twarzy. Zacząłem istnieć jako człowiek myślący.

Siność działała na ciotki, ale żadna nie zostałaaby ze mną na górze podczas bombardowania. Zostawała babka. Ona też nie lubiła piwnicy.

Siadywaliśmy w łazience, bo tam nie groziły odłamki ani służba porządkowa. Siedzieliśmy na podłodze i pluliśmy na punkty do sedesu. Babka strzykała śliną jak marynarz, bo w kolejce po chleb wybili jej z przodu dwa zęby.

Mówiła, że jak „ci” się uspokoją „ze swoimi bombami”, to ona zabierze mnie od „tych wariatów” do siebie na kresy. Tam jest dom drewniany, ukryty w ogrodzie, i miejsce na schron, który zbudujemy sami według swego gustu. Wykopiemy go w ziemi. Ziemia jest pachnąca i czarna. Chyba że zdarzy się piach albo glina. Wtedy jest bura, żółtawa albo czerwona. Schron będzie tylko nasz i nikt nie będzie w nim płakał ani śpiewał godzinek. Zakryjemy go trawą, a niemiecki lotnik, przelatując nad nim, pomyśli, że to trawnik albo grządka ze szczypiorkiem. W ten sposób zrobimy dobry uczynek, bo oszukamy Niemca, a Pan Bóg poczyta nam to za większą zasługę niż dziesięć śpiewanych zdrowasiek i będzie się nami specjalnie opiekował. Ciotka Ludwika uznała za stosowne poinformować kuzynkę Ziunię, że stan nerwów i umysłu babki pozostawia wiele do życzenia. Nieszczęsnej staruszce wydaje się, że wojna będzie trwała tak długo, iż zajdzie potrzeba budowania nowych schronów. Kuzynka Ziunia zażądała kategorycznie, żeby babka nie opowiadała dziecku głupstw, bo może spowodować uraz. Babka strzyknęła śliną przez wybite zęby i zatarła nogą. Bardzo chciałem mieć własny schron.

Po dwóch tygodniach weszli Niemcy i wszyscy wyjechaliśmy na kresy.

Dom babki był za miastem. Miał część salonową i kuchenną. Pod oknami pachniały malwy i nasturcje. Naprzeciw stały senne koszary po ułanach. Sąsiadka Horużowa grała wieczorami na harmonii. W ogrodzie rosły owoce i warzywa, za ogrodem kartofle.

Kiedy ruszyły kolumny na wschód, koszary i domki przy koszarach spęczniały od mundurów. Każdy dom miał swojego Niemca i nimi mierzył się teraz czas mojej wojny. Kiedy odchodził jeden, a drugi jeszcze nie przyszedł, dom był pełen emocji, jak samotny myśliwy zacząłony z laseczką na grubego zwierza. Od tego, jaki będzie domowy Niemiec, zależało wszystko. Skoro musiał być, to jak najszybciej trzeba było wiedzieć, czy jest zły, dobry czy średni.

Niemcy mojego dzieciństwa istnieli od zawsze. Mieszkali w salonowej części. Kiedy ich zabrakło, odczułem coś w rodzaju pustki, jak po wyrwaniu bolącego zęba. Nie umiałem wtedy jeszcze zastąpić wroga przyjacielem.

Moja pamięć, mała i słaba, nie zanotowała dokładnie dwóch feldfebli, którzy sprowadzili się jako pierwsi. Wiem tylko, że jeden przestrzelił oczy obrazowi Pana Jezusa, bo to był król Judei. Nocami wychodziły z tych oczu stonogi w mundurach.

Następny nazywał się Sąsiad i sam mówił, że jest z niego „kainy Niemiec”. Przyjechał ze Śląska i umiał po polsku. Przychodził pogadać do babki i popatrzeć na Ziunię, która była bardzo ładna. Ziunia z nim nie rozmawiała, bo u nas nie rozmawiało się z ludźmi w niemieckich mundurach. Tylko babka się nie stosowała do tej reguły. Piła herbatę Sąsiada i przyszywała mu guziki do munduru. Słodziła również jego cukrem, a on jej opowiadał, że jak wojna się skończy, to on się z Ziunią ożeni. Po wojnie będzie dużo zniszczonych pieców, a on jest zdun i zarobi mnóstwo pieniędzy. Jak zarobi, to nas wszystkich zabierze do Breslau. Tam jest pięknie.

Wiosną dostał rozkaz na front. Przyszedł się pożegnać. Siedziałem w domu sam. Pilnowałem kury na jajach. Sąsiad miał kieszenie wypchane cukierkami. One były czekoladowe.

Na początku ciągle chciał nam coś dawać. Ale polski patriota nic nie bierze od Niemca, choćby miał umrzeć. U nas wszyscy byli patriotami. Oczywiście, oprócz babki. Więc Sąsiad dawał tylko jej. Niby za te guziki, za czyszczenie munduru. Babka brała. Potem jedliśmy wszyscy, jakby, przechodząc przez jej ręce, to jedzenie oczyszczało się z niemieckości. Teraz chciał coś dać bezpośrednio mnie.

– Na – odwinął jeden z papierka – dobre!

Wiedziałem, że dobre. Zaciśnąłem powieki, wsadziłem ręce do kieszeni. Moje męki były nie tylko fizyczne, pochodzące z łakomstwa, ale i duchowe. To był przecież „kainy Niemiec”.

Westchnął, pogłaskał mnie po głowie. Cukierki położył na stole.

– Hitler kaput – ja i ty na Breslau.

Poszedł. Na stole błyszczało tęczowo. Już nie mogłem oddać. Pod kuchnią palił się ogień.

Nie zrobiłem tego od razu. Może nawet zjadłem jednego. Może dwa albo trzy? Ale resztę zgarnąłem do szufli i wrzuciłem w ogień. To był jedyny bohaterstwo czyn, jakiego dokonałem w czasie wojny.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI